

Razem z Romkiem wróciliśmy po lekcjach do mnie do domu i bawimy się w trzech muszkieterów. Ja jestem d'Artagnanem, a on nastanym przez złego kardynała Richelieu zbirem, który ma mnie napaść z zamiarem zakłucia od tyłu, cichcem pośród nocy. Muszę oczywiście mieć się na baczności. Postanowiłem schować się w łazience przyległej do drzwi kuchni, a gdy Romek nieopatrznie przejdzie obok niedomkniętych przeze mnie drzwi, zarzucę mu na głowę pelerynę i przebiję go szpadą na wylot. Na taki los zasługuje każdy bandzior. O tym byliśmy obaj przekonani, bowiem już zaczynaliśmy nasiąkać mentalnością tego świata.

Poprzez otwarte okienko, łączące oba te pomieszczenia, usłyszałem płacz Janki, od roku naszej „pomocy domowej”. Janka miała 17 lat, pochodziła z jakiejś małej śląskiej wsi i raz na tydzień miała wychodne, ale domu rodzinnego wolała nie odwiedzać, bo jej ojciec, nałogowy alkoholik, „ino jom loł”. Taki sam los spotkał jej matkę oraz dwie młodsze siostry.

Janka, o ile wychodziła z domu, to albo żeby ustawić się w kolejce za czymś, co mieli „rzucić na skład”, albo do kościoła na Mariackiej. Podczas spowiedzi ksiądz zaproponował Jance „szcero rozmowa” i Janka odwiedziła go o umówionej porze, ale w rezultacie tej szczerzej rozmowy zaszła w ciążę i „terozki nie wiedziała, co mo robić”. Ten „przystojny” ksiądz, który zapłodnił Jankę, powiedział jej, że to na pewno nie z nim, a ten starszy, do którego się zwróciła o pomoc w tej przerażającej ją sytuacji, powiedział, żeby się zamknęła, bo i tak nikt jej nie uwierzy. Ale najgorszą rzeczą dla Janki było to, że jak jej „łojciec się dowie, że to z księdzem, to weźnie siekiera i jom porombie”.

Tak mnie to zafrapowało, że o mało nie zostałem nakryty w mojej kryjówce przez naslanego na mnie kościelnego zbira.

W nocy usłyszałem, jak matka cichym głosem, częściowo wtrącając tu i tam zdania w języku niemieckim (żeby nie zaprzętać dziecku umysłu zbędnymi sprawami), zdała ojcu relację z sytuacji, w której znalazła się nasza „pomoc domowa”. To wtedy po raz pierwszy w obecnym życiu usłyszałem słowo „skrobanka”. Szukałem go później w skorowidzach, w książkach lekarskich mojego ojca, ale go tam nie znalazłem. Srom znalazłem. Skrobanki – nie.

Gdy po dwóch tygodniach studiowania „Ginekologii w zarysie” zwróciłem się do ojca z prośbą o wyjaśnienie tego pojęcia, on w odpowiedzi spytał, czy Janka coś mi mówiła na ten temat, a gdy usłyszał odpowiedź przeczącą, posłał mnie z owym pytaniem do kuchni, do matki. Ona zaś spytała, czy mogę być cierpliwy i poczekać na odpowiedź jeszcze kilka lat, aż będę dojrzały. Jej zdaniem wiedza na ten temat w moim wieku jest zbędna, a nawet może być szkodliwa. Jednym słowem powinienem „zająć swój umysł czymś innym i o wiele ciekawszym dla chłopca w moim wieku”.

Tak, takie było mamy zdanie, ale nie moje. Ja chciałem wiedzieć, co to jest „skrobanka” teraz, natychmiast, a nie za kilka lat. Korzystając z nadarzającej się okazji poprosiłem o wyjaśnienie poufnym tonem samą Jankę, czując, że ona z całą pewnością posiada najświeższe informacje na ten tak tajemniczy temat. „Uciekej mi stąd, ty huncwocie jeden” – usłyszałem w odpowiedzi, a w moim kierunku poleciała mokra szmatka do wycierania talerzy.

Po upływie dwóch godzin myśl o skrobance wróciła. Bawiliśmy się z Tadzkiem i Mieciem u nich w mieszkaniu. Właśnie z pracy wróciła ich (jak zwykle „na lekkiej bani”) mama.

– Dzień dobry – pozdrowiłem ją, pomny nauk mojej rodzicielki, że młodszy powinien pierwszy pozdrowić starszego wiekiem, a w szczególności kobietę. – Czy pani wie, co to jest skrobanka?

Kobieta spojrzała na mnie jakoś dziwnie i wrzasnęła:

– Ty świnię mała! Uciekej mi stąd i wiecej sam nie przylaż!

Od tego dnia jej synom nie wolno było „kolegować” się ze mną, żebym ich nie zepsuł. Mogli jednak spod stołu lub łóżka obserwować ich zalanego alkoholem ziemskiego ojca, milicjanta bijącego bezkarnie pijaną matkę, grożącego w amoku rodzinie bronią lub gwałcącego ich starą babcie albo siostry... swoje siostry, siostry swojej żony, albo siostry Tadzka i Miecia, czyli swoje córki.

To chyba dlatego po latach tak bardzo chłonałem kultowe na owe czasy nagranie Czesława Niemena „Dziwny jest ten świat”, świat ludzkich, no właśnie, ludzkich spraw...

Ciekawość badacza zaprowadziła mnie do przedstawicielki grona nauczycielskiego, mojej wychowawczynie, pani Hankowej, rozstrojonej nerwowo pracą z rozwidrzonymi bachorami wdowy, mieszkającej ze swoją niezamężną córką. Gdy „pani” weszła do klasy i usiadła za „katedrą”, podniosłem rękę zgodnie z regulaminem i po otrzymaniu zezwolenia na otwarcie ust sformułowałem jasno moje pytanie:

– Proszę pani, co to jest „skrobanka”?

– Nacht! Ty nędzo! Ulica cię chowa! – krzyknęła pani Hankowa. Podbiegła do mnie, złapała za czuprynę i potrzęsając moją głowę dodała:

– Na jutro napiszesz sto razy: „Nie będę zadawać głupich pytań w klasie”. Zrozumiałeś?

Nie rozumiałem. Zadałem pytanie, a tu zamiast odpowiedzi usłyszałem, że jestem „nędzą”. Nawet nie wiem, co to jest. Nie wiem, co to jest „skrobanka” i nie wiem, co to jest „nędza”. A poza tym wychowują mnie rodzice, a nie ulica. To niezgodne z prawdą. Także kara mi się nie należy. Dlaczego moje pytanie jest głupie? Nie przyjmuję tej niesłusznej kary. Co za jaskrawa niesprawiedliwość! Znowu!

Następnego dnia moja zagubiona wychowawczyni dowiaduje się, że nie mam zamiaru wykonać jej polecenia, gdyż moim zdaniem „to jest niesprawiedliwość”, a poza tym nadal chcę dowiedzieć się, co to jest „skrobanka”. Nauczycielka postanawia bić mnie, znów „za karę”, kantem drewnianego piórnika „po łapie”. Ponieważ widziałem już nie raz, jak podskakują nerwowo bite piórnikiem „po łapach” dzieci, jak płaczą upokorzone przed całą klasą, i jak potem wyglądają ich puchnące dłonie, chowam dłonie do kieszeni spodni i odmawiam stanowczo posłuszeństwa. Pani Hankowa znów chwyta mnie za włosy i wlecze ku drzwiom:

– Natychmiast do dyrektorki! Ale już! – krzyczy.

Stukam w drzwi pokoju nauczycielskiego i kieruję się w stronę „gabinetu” dyrektorki szkoły. Jestem wzburzony. Czuję się niesprawiedliwie potraktowany. Na pytanie dyrektorki, dlaczego wychowawczyni mnie do niej przysłała, wyrzucam z siebie jednym tchem, że zapytałem po prostu, co to jest „skrobanka”, a pani Hankowa zamiast mi odpowiedzieć, nazywa mnie – jak i inne dzieci – „nędzą”, szarpie za włosy, każe mi napisać za karę sto razy, że nie będę zadawać głupich pytań w klasie, a gdy ja tłumaczę, że nie wiem,

dlaczego moje pytanie jest głupie, to pani chce łać mnie piórnikiem po łapach, szarpie za włosy i wyrzuca z klasy do sekretariatu.

– O co ty się spytałeś? – chce wiedzieć pani dyrektor.

– Co to jest „skrobanka”? – odpowiadam.

– Masz być posłuszny! Rozumiesz? Jak pani Hankowa coś ci nakazuje, to masz to wykonać i ani mru-mru. A teraz wracaj do klasy i przynieś mi swój dzienniczek.

– Ale ona szarpie za włosy! I... – nie dokończyłem mojego protestu, bo pani dyrektor przerwała mi uderzając dłonią w blat biurka.

– Marsz po dzienniczek!

Tego właśnie należy się spodziewać po dorosłych: niesprawiedliwego traktowania, braku zrozumienia, przemocy jako argumentów! Treść słów „ani mru-mru” wywołuje we mnie uczucie buntu. Czuję istniejącą we mnie ogromną siłę, która nie pozwoli się zbyć przez „ani mru-mru” pani dyrektor. To ja mam rację. A jak jeszcze raz pani Hankowa chwyci mnie za włosy, to ją kopnę w nogę. Niech ją też boli. Skoro polscy partyzanci stali się bohaterami broniąc się zaciekle przed atakami Niemców, to ja mam takie samo prawo bronić się przed atakiem pani Hankowej i szarpaniem za włosy.

Wracam z dzienniczkiem do pokoju dyrektorki, a ta wpisuje mi tam kilka zdań. Mam dzienniczek przekazać do podpisania rodzicom. Raz jeszcze staram się coś powiedzieć, ale „dyra” nakazuje mi się zamknąć i opuścić jej gabinet. Ma inne, ważniejsze sprawy na głowie.

Nie wracam już do klasy. Co za niesprawiedliwość! Wracam do domu. Nie pójdę więcej do tej szkoły. Człowiek się o coś pyta, a tu w odpowiedzi kary, groźby. Co to jest ta „skrobanka”?!

Na ulicy 27 Stycznia stoją w bramie chłopcy i składają się na „jabola”. Znam ich. Znam wszystkich. Ich naprawdę wychowuje ulica. Niektórzy spijają się jabolami już od kilku lat, choć mają dopiero po czternaście wiosen. Picie „jabców” i wody to ich dzieciństwo, ich środowisko, ich przyszłość. Tak żyją ich rodzice (o ile ich mają), ich sąsiedzi, ich bliższe i dalsze rodziny. Od pokoleń.

– Te, bajtel – przywołuje mnie jeden z nich. – Mosz złotówka do jutra?

Brakuje im do „ścipy”.

– A docie się trocha napić? – pytam.

Wchodzimy na podwórko. Nie oszukali mnie. Dali mi nawet łyka.

– Tyś jest fajny synek, ale żyd – klepie mnie szeroką dłonią jeden z nich.

– A wiecie, co to jest „skrobanka”? – zwracam się do nich wszystkich z nadzieją, że chyba tu otrzymam w końcu odpowiedź na moje pytanie.

– Jasne – odzywa się Acik i wszyscy się głupio śmieją.

– Jak się baba z chopem wydupiom, a łona zaskoczy, to jak nie chcom tego bajtla, nie? to idom do lekarza, abo do takij starej babki, nie? i łoni jej te dziecko z rzyci wyskrobia, nie?

Widząc moje zdziwienie, ten najstarszy, chyba najlepiej poinformowany, dodaje z histerycznym śmiechem:

– Nie z rzyci, ino z pizdy!

Coś zaczynam pojmować. Przypominam sobie widziane w książkach medycznych ojca fotografie żeńskich narządów rod-

nych. Gdzieś tam w środku powstaje dziecko. Rysunki embriónów też już widziałem. Oczyma wyobraźni kojarzę ze sobą te wszystkie informacje. Gdzieś tam głęboko w kobiecie z dużym brzuchem (widziałem już takie), siedzi sobie takie malutkie dziecko i czeka, żeby się urodzić, a lekarz w białym fartuchu, albo ta stara babka z jednym tylko zębem, który jej się zaczepia o dolną wargę, jak jest pijana, ta która mieszka w piwnicy na Wieczorka za rogiem, wsuwa nóż do dziurki tej kobiety w ciąży, wyskrobuje to dziecko z dziurki na zewnątrz i wrzuca do kubła na śmieci. To dlatego tata zabrał Jankę do ginekologa. Wielka mi tajemnica. Nie mogli mi powiedzieć?!

- A co to jest „nędza”? – pytam moich n a u c z y c i e l i.
- Nędza to jest wtedy, jak ktoś jest głodny, a nie mo co jeść.

Nie rozumiem, dlaczego pani Hankowa powiedziała mi, że jestem nędzą. Mama już od dłuższego czasu z rana owija mi dwie kanapki z serem w pergamin. Jedna jest dla mnie, a drugą dają Zielonce, który od maja zawsze przychodzi do szkoły bez butów, bo „trzeba je oszczędzać” i za to, że ktoś da mu ugryźć kawałek ze swojej kanapki pokazuje rany, jakie odniósł poprzedniego wieczoru, gdy jego ojciec w ponownym napadzie szału okładał go sznurem od żelazka lub pogrzebaczem, albo oblał nogi wrzątkiem. Zresztą *Ziele* nie był jedyny z takim życiorysem.

Skończył się rok szkolny. Zdałem do czwartej klasy. Mama zapisała mnie na półkolonię w parku Kościuszki na Brynowie. Spośród wszystkich dzieci mała blondyneczka, chyba nazywała się Urszulka, przyciąga od pierwszej chwili moją uwagę. Prawdziwy aniołek. Gdy na nią patrzę, dzieje się ze mną coś dziwnego. Chcę ciągle na nią patrzeć. Tylko na nią! Jest taka ładna. Chcę być

blisko niej. Chcę się bawić tylko z nią. Ale nie wiem, jak to zrobić, co jej powiedzieć? W końcu podchodzę i walę prosto z mostu:

– Lubisz landrynki?

Lubi.

– A orzeszki w czekoladzie? – staram się poznać ją nieco głębiej.

Też lubi. Obiecuję, że jutro jej przyniosę albo landrynki, albo orzeszki. Po trzech dniach moja matka dochodzi do wniosku, że ostatnio zbyt często proszę ją o pieniądze na słodycze i uświadamiając mnie o szkodliwości, jaką wywiera cukier na szkliwo młodych zębów, odmawia dania mi dwóch złotych. Po godzinie staram się ją oszukać wymyślając, że potrzebuję „na coś innego”, ale matka czuje, że to nieprawda i znów odmawia, a ja jakoś nie potrafię przyznać się do tego, że to nie dla siebie kupuję te landrynki i orzeszki, tylko dla Urszulki.

W nocy nie mogę zasnąć. Dla Urszulki jestem gotowy zrobić wszystko! Czekam, aż wszyscy zasną i na czworakach wkradam się do sypialni rodziców. Z kieszeni spodni mojego ojca zabieram dwa złote, żywiąc w walącym mi sercu nadzieję, że ojciec nie zauważy braku tych aluminiowych krążków, a jeśli nawet, to chyba pomyśli, że je zgubił.

Tak oto przyszła lekcja o istnieniu bardzo ważnego czynnika w życiu na Ziemi, jakim jest pieniądź. W tym świecie, który jest rzekomo naszym wspólnym domem, nie wolno człowiekowi wejść do sklepu i tak po prostu wziąć garść landrynek dla ukochanej istoty. Dom domem, ale za wszystko trzeba zapłacić. Żeby mieć pieniądze, trzeba być dorosłym i je zarabiać, czyli dużo pracować „za dziadowską pensję”. Będąc dorosłym można też zająć się „prywatną inicjatywą” (cokolwiek to oznacza), ale ponieważ

„kładą takiemu człowiekowi kłody pod nogi” – jak nie raz słyszałem – trzeba mieć *cbody* w Urzędzie Skarbowym.

Następnego dnia proszę ojca o dwa złote. Niestety matka usłyszała i powiadomiła ojca, że ostatnio ciągle latam po landrynki. Znów z jakiejś przyczyny nie mogę wyznać im, że to nie dla mnie, że zakochałem się w tej blondyneczce, bo tak to chyba się nazywa. W nocy przeprowadzam znowu akcję spenetrowania kieszeni w spodniach i marynarce ojca. Serce wali mi jak młot. Znajduję tylko jedną monetę. Zabieram ją. Okazuje się, że to moneta pięcioletowa. Kupuję dziesięć deka landrynek, a za resztę orzeszki w czekoladzie. Biegnę i składam te dary mojej wybrance, a ona jest po prostu szczęśliwa. Ja też.

To musiało się tak skończyć. Wyszło na jaw, że brałem potajemnie pieniądze z portmonetki ojca. Przyznałem się, że brałem, ale nie dla siebie, tylko dla Urszulki. Nie wiem, dlaczego to jakby rozbawiło moich rodziców. Dla mnie to była niezwykle poważna sprawa. Okazało się też, że to nieładnie kraść, a w szczególności we własnym domu. Staralem się wyjaśnić, że z mojego punktu widzenia nie kradłem, a tylko nie chcąc opowiadać wszem wobec o moich głębokich uczuciach do Urszulki, wziąłem „troszkę na moje wydatki”. Wziąłem tylko tyle, ile potrzebowałem. Zresztą skoro jesteśmy rodziną, to wszystkie pieniądze są nasze wspólne. Więc jak mogłem ukraść swoje własne pieniądze? W odpowiedzi dowiedziałem się, że mój tok myślenia jest błędny. Nie wyjaśniono mi jednak dlaczego. Wprawdzie jesteśmy rodziną, ale to, co każdy ma w kieszeni, należy tylko do niego. Jakoś nie mogłem tego pojąć.

Jak się burzy, to się burzy. Matka Urszulki zabroniła jej bawić się ze mną:

– Nie musisz się ciągle bawić z tym żydkiem! Tu są jeszcze inne dzieci.

Nie rozumiem, co w tym złego, że jestem „żydkiem”. Przecież nic złego Urszulce nie zrobiłem. A taki na przykład Jacek, który nie jest „żydkiem”, ciągle jej dokuczał i ciągnął za warkocze.

– Żebyś mi się do niej nie zbliżał! – pogroziła mi palcem i poszła.

– Moja mama jest głupia – zwraca się do mnie mój aniołek, wydając słuszną diagnozę swojej rasistowskiej rodzicielce.

– Będziesz się ze mną bawić? – pytam wzburzony Urszulkę.

– Jasne! – odpowiada. I znów jesteśmy szczęśliwi. Widocznie nie zależy jej na tym, czy jestem „żydkiem” czy „polaczkiem”. Mnie też nie.

Bierzemy płyty i do Andrzeja. Mamy najnowsze nagrania Cliffa Richarda, Tommy Steela, Vince’a Taylora. Jesteśmy najlepsi w mieście. W naszym życiu liczy się tylko jedno: prywatki. Prywatka to jest TO. Prywatka to jest muzyka, papierosy, wolność – jak na Zachodzie. Naszym przykładem są starsi o dwa, trzy lata bracia i siostry kolegów i koleżanek. My mamy po 13, 14 lat, oni j u ż po 16, 17, a nawet 18. My też chcemy żyć jak oni, jak żyje młodzież na Zachodzie. Pamiętam, ile radości sprawiła mi zwykła czarna skórzana kurtka, choć według mojego ojca wyglądałem w niej jak „kierowca ciężarówki”. Czuję się jak Elvis na występie. Do niej Toni uszył mi z białego lnianego płótna obcisłe w kroku i poszerzające się ku dołowi spodnie. Zamieniłem z kimś płaszcz ortalionowy na czarną koszulkę p o l o. Kupiłem sobie do kompletu tenisówki i... byłem k i m ś. Każdy z trudem nabyty ciuch był magicznym obiektem mocy. Dodawał energii.

U Andrzeja też płyt nie brakowało. Tańczyliśmy. Wypiliśmy sporo wina. I w pewnym momencie Basia, z którą właśnie tańczyłem powoli, bardzo powoli (tak, jak to widziałem na jakimś włoskim filmie) i którą pocałowałem w szyję (tak jak to widziałem na jakimś francuskim filmie), wyczuwając tak pieczołowicie ukrywane przeze mnie podniecenie seksualne, którego nie potrafiłem opanować, szepnęła mi do ucha: „Chodź”. Wzięła mnie za rękę i poprowadziła za sobą. Miałem 15 lat, a ona 13. Ponieważ tapczany i łóżka były już zajęte przez m a c a j ą c e się nawzajem pary, Basia wciągnęła mnie do obszernej szafy ściiennej. Czułem, że robi mi się gorąco i takie samo gorąco płynęło w moim kierunku od Basi. W szafie było ciemno, chociaż drzwi zostawiliśmy uchylone. Pomogłem jej rozpiąć bluzeczkę i bardzo chciałem zobaczyć jej dopiero co rozwijające się jak małe mandarynki piersiątko, ale nic nie byłem w stanie dojrzeć. Basia położyła się na plecach i pociągnęła mnie na siebie. Zacząłem więc całować ją, kręcąc przy tym głową tak, jak to robili filmowi aktorzy. W szafie zrobiło się nieznośnie duszno. W pewnej chwili myślałem, że pęknie mi rozporek. Głaskałem Basi z góry na dół i z powrotem wciąż tę samą pierś – której w tej chwili właściwie nie było tam, gdzie przed chwilą jeszcze była – i zastanawiałem się, czy nie powinienem zmienić łokcia, na którym się opierałem, bo zdrętwiała mi także ręka, gdy Basia jakimś dziwnie zdławionym głosem poprosiła, żebym „teraz pogłaskał ją też n a d o l e”. Nareszcie mogłem zmienić pozycję. Położyłem się trochę niżej obok niej, podniosłem jej spódniczkę i pocałowałem wypukłą b u ł e c z k ę, jak ją w myślach nazwałem. Ale nie o takie głaskanie Basi chodziło. Skąd mogłem wiedzieć? Basia ujęła moją dłoń i włożyła sobie w majtki. W ciemności czułem, że rozchyła nogi. Pod dłonią poczułem buchające z b u ł e c z k i gorąco. Mój wskazujący palec włożyła sobie Basia w „pęknięcie” w b u ł e c z c e i ścisnęła

mocno uda. No i jak mam ją teraz głaskać? Na dodatek myśl o moim pękającym w szwach rozporoku nie opuszczała mnie ani na chwilę. Basia w ciemności rozchyliła kilka razy bułeczkę, ale bardzo szybko zaciskała ją z powrotem na moim palcu wskazującym. W pęknięciu bułeczki zrobiło się mokro. W pewnej chwili pomyślałem nawet, czy Basia przypadkiem nie zsiusiała się z jakiegoś powodu... Byłem spocony, było mi duszno, a na dodatek Basia złapała mnie za rozporek, wijąc się i mrużąc. Mruczała jak kot. Nagle zamruczała jeszcze głośniejsze, odsapnęła, złapała moją dłoń i położyła sobie na ustach, jakby chciała w ten sposób stłumić te pomruki i wylizła mi wnętrze dłoni. Następnie moją mokrą dłonią głaskała się przez chwilę po miejscach, gdzie (gdy stała) widać było rosnące piersi, i usiadła. Po omacku znalazła moją twarz i pocałowała mnie w usta.

– Kochany jesteś – powiedziała. – Tylko znajdę moją bluzkę i wychodzimy stąd. Można się tu udusić z gorąca.

Po powrocie do domu od razu udałem się do łóżka. Źle się czułem i nie wiedziałem dlaczego. Z jakiejś przyczyny bolały mnie kulk i podświadomie wiązałem to z Basią. Nie rozumiałem jednak, w jaki sposób ona może mieć z tym bólem coś wspólnego. Zasnąłem ze zbolałymi kulkami w dłoniach.

Początek lat 60. XX (!) wieku. Era zespołu The Beatles.

– Dziś u Pawła jest prywatka – dowiaduję się, wchodząc do modnej w owym czasie „Cafe Sport”. Tu spotyka się „śmietanka” katowickiej młodzieży: synowie i córki wpływowych „partyjniaków”, zamożnych „prywaciarzy” posiadających sklepy prywatne lub pralnie chemiczne, ginekologów i laryngologów, wzbogacających się na zabiegach aborcyjnych i wycinaniu migdałków,

rozpieszczone dzieci „badylarzy”, „cinkciarzy” i handlarzy antybiotykami sprowadzanymi z zagranicy.

Paweł jest synem wiceministra, szarej eminencji, jednego z tych, którzy „rządzą Śląskiem”. Jego stary ma też chody w Warszawie i często wyjeżdża za granicę! Jego matka uważana była za najbardziej elegancką damę Katowic. Ona również „ubierała się za granicą”. W owych czasach na człowieka, który odwiedził kilka zachodnich stolic, patrzono jak na kogoś, kto właśnie wrócił z Alfa Centauri.

Pawełek wychował się na Brynowie, w wielkiej starej willi z widokiem na park, z ogrodem i garażem na dwa samochody. Kierowca jego „wszechmogącego” ojca przywoził go do szkoły czarną tatrą i wnosił mu teczkę do klasy. Paweł strzygł się krótko, jak amerykański GI, nosił dzinsy (lewisy oczywiście), koszulki polo (tylko oryginalne, markowe, „te z krokodylem”), kurtki albo z kanadyjskich college’ów, albo czarną skórzaną, kupioną w Paryżu. Takie ciuchy robiły na wszystkich wielkie wrażenie. A ciuchy były dla nas wszystkich w owych czasach niezwykle ważne. Stanowiły magiczne obiekty mocy. Kto ubierał się w zagraniczne szmaty, kto posiadał kilka płyt z nagraniami amerykańskich, angielskich lub francuskich piosenkarzy, ten był już kimś. Taki się już „zaliczał”. A jak do tego jego „starzy” byli „dziani”, mieli zagraniczny samochód... No to już był naprawdę „gość”. A jak ktoś mieszkał w kilkupokojowym mieszkaniu w okolicach ulicy PCK albo w willi na Brynowie i zawsze miał w kieszeni nie kilkadziesiąt, a kilkaset złotych (a mowa tu o latach 60. w tzw. PRL-u), to był już półbogiem. Należał z tej racji (racji stanu oczywiście) do „rasy”. Taki to „fizycznemu” ręki nie podawał.

Skoczyliśmy jeszcze do hotelu „Monopol”, gdzie znajdowała się filia PKO. Można tu było nabyć za walutę zagraniczną wszystkie symbole zachodniej wolności: dżinsy marki „Lee” albo „Wrangler” (!), szwedzkie koszule firmy „Melka” (!), perfumy „Chanel 5” (och!!!), papierosy zagraniczne (ach!) i szeroki asortyment napojów alkoholowych, a te najbardziej nas wówczas interesowały. Paweł miał przy sobie kilkadziesiąt dolarów. Kupiliśmy więc kilka paczek chesterfieldów, „Sherry Brandy” i dwie „Luksusowe”. Dolarka dla pani sprzedawczyni, żeby nie zadawała trudnych pytań (a dolar w one dni wart był chyba ponad 100 złotych, suma, którą nazywano „to dużo pieniędzy”).

Zebrało się nas kilkanaście osób, „wybrana rasa”, jak nas nazywano. Gospoia, która wychowała Pawełka, wciąż pogardliwie przezeń traktowana, krzątała się w początkowej fazie prywatki pomiędzy kuchnią a ogromnym salonem, przynosząc parówki, kabanosy i wspaniałe „kanapeczki”. Takie prywatki i do tego „ze służbą” odbywały się tylko u tego zmierłego, obleśnego, zarozumiałego, na wszystko pozwalającego sobie drania. Nikt z nas tak naprawdę Pawła nie lubił. Nie można go było lubić. Myślę, że był z lekka schizofrenikiem. Miał jednak to wszystko i takie możliwości, o jakich nikomu z nas się nie śniło, a co znaleźliśmy tylko z włoskich, francuskich i amerykańskich filmów. A my, piękni, młodzi i zbuntowani nie chcieliśmy wstępować w szeregi ZMS-u, aby następnie zasilać szeregi PZPR-u. My chcieliśmy, żeby w Polsce było tak „dobrze”, jak na Zachodzie. Każda negatywna wypowiedź na temat Ameryki lub RFN-u była w naszych kręgach (jak i w kręgach otaczających nas dorosłych) traktowana jako „wroga wolnemu światu moskiewska propaganda”. Wówczas nikt nawet nie marzył o tym, że Polska będzie kiedyś znowu kapitalistyczna. „Normalni” obywatele po wiele produktów żywności-

wych ustawiali się w długich, wielometrowych kolejkach. Ludzie nie kupowali, lecz „zdobywali”, lub jak ktoś miał „chody”, to sobie „załatwiał”, albo zaprzyjaźniony kierownik sklepu przynosił „po znajomości” potajemnie do domu klienta to wszystko, czego stale brakowało innym. Kierownik oczywiście „miał coś z tego”. Obowiązujący system doprowadził do tego, że ludzie pomagali sobie wzajemnie, niestety nie bezinteresownie. Obowiązywała zasada „rączka rączkę myje” i nawet drakońskie kary nie były w stanie powstrzymać ludzi przed „załatwianiem po znajomości”. To przecież naturalny odruch. Ty ułatwiasz życie mnie, a ja tobie, akcja – reakcja. Oko za oko... Były to czasy zdobywania bułgarskich mrożonych pomidorów, szynki na święta, masła... Zaś dzieci wychowywane w willach, pod którymi stały zaparkowane w garażach czarne limuzyny, gdzie pracowały gosposie, sprzątaczkę, szoferzy i ogrodnicy, nic o tych mrożonych pomidorach z Bułgarii nie wiedziały. Z Bułgarii znały natomiast tylko Złote Piaski, gdzie nieraz nudziły się z rodzicami na wakacjach, podczas gdy dzieci „normalnych” obywateli jechały na kolonie i nie zdawały sobie nawet sprawy z istnienia w świecie, w którym się znalazły i egzystowały, eleganckich hoteli, bo nigdy nie widziały nawet taniego hoteliku. I na nic zdało się obrzydzanie Zachodu przez oficjalną propagandę. Ludzie chcieli, żeby było znowu „tak jak przed wojną” albo w „normalnym świecie”. Zaś symbolem osiągniętej normalności była Ameryka. T a m to ludzie wiedzą, że żyją. I tacy jak rozpieszczony Pawełek nam ten Zachód przybliżali – sposobem bycia, standardem życia, strojem z naszywkami „Made in...” a przede wszystkim swoją beztroską swobodą i wolnością, jaką dają pieniądz i koneksje.

Po odtąnczeniu kilku dzikich rock’n’rolli Tommy’ego Steala, Johnny’ego Holidaya, Vince’a Taylora i innych, po lipsy i madiso-

nie, ktoś gasi jak zwykle światło i zaczynają się „przysłanki” przy sentymentalnych piosenkach z repertuaru Peppino di Capri, „You are my destiny” Paula Anki, „Dona” Cliffa Richarda. Paweł posiada wielki magnetofon marki „Grundig”! Takie to mają chyba tylko w stacjach radiowych. U Pawła nagrałem z Radia Luxembourg oraz Radia Monte Carlo najnowsze nagrania i uporządkowałem je w ten sposób, że po kilku *rockach* następowały już tylko *slowy*. Gdybyśmy chcieli zrezygnować z intymnej atmosfery, to mieliśmy u Pawelka jeszcze adapter i niezliczoną ilość płyt – magicznych czarnych krążków, które dawały nam tyle radości i pomagały utrzymać się na fali Zachodu. Jego starzy zawsze pamiętali podczas swych wояaży za granicę o potrzebach dziecka. Któż z nas nie chciałby mieć t a k i c h starych?!

Graliśmy w „mordercę”. Gra polegała na tym, że jeden z nas wychodził do innego pomieszczenia i miał we właściwym czasie odegrać rolę detektywa. Pozostali w salonie uzgadniali pomiędzy sobą, kto będzie ofiarą, a kto mordercą. Następnie gasiliśmy wszystkie lampy i... to był ten moment, na który wszyscy czekali. Rozpoczynało się polowanie na tapczany, otomany, leżanki, łóżka, wersalki, kanadyjki. Morderca miał udusić swoją ofiarę po ciemku, po czym wzywano detektywa w celu rozwiązania zagadki. Towarzystwo rozbiegało się po sąsiednich pokojach starając się zająć mebel tylko dla siebie. Detektyw też. Często jednak bywało na tych prywatkach tłoczno i trzeba było dzielić łożę z bliźnimi. Kładliśmy się więc na tych meblach w poprzek. Bywało i tak, że na jednym łóżku leżały ze trzy pary. Tak więc i w PRL-u mieliśmy wolną miłość, podobnie jak w Szwecji czy na Zachodzie. A nasze dziewczyny, którym dopiero rosły piersi, robiły co tylko mogły, żeby wyglądać tak jak Brigitte Bardot, Claudia Cardinale albo Sophia Loren. Taką żywą kopią Sophii Loren była

czternastoletnia Basia, z którą wówczas „chodziłem” i której urodę byłem wprost zauroczony. I choć zachowywała się jak Bardotka u Vadima, to ja uznawałem, że silny mężczyzna nie pozwala sobie na cierpienie i nie dopuszcza do siebie zazdrości „tak jak baba”. Z Basią znaleźliśmy się już „długo”, a przed kilkoma miesiącami na prywatce u Andrzeja, z braku miejsca i natłoku par, znaleźliśmy się w szafie ściennej, gdzie mogliśmy się nawzajem „wymacać” do woli. Brała moją dłoń, kładła ją sobie na swoich twardych, dojrzewających „klementynkach”, albo w szparce pomiędzy udami, gdzie robiło się szybko bardzo mokro i uczyła mnie: „Rób mi tak, nie tak. O tak! Taaak. A teraz tak”. Strasznie lubiłem chodzić z Basią na prywatki. Piękna Basia była chodzącym dowodem na to, że dziewczynki szybciej dojrzewają, chociaż czasem po tych wieczorach bolały mnie jądra.

Tym razem Paweł zaproponował, żeby „zamiast nadal macać się z tymi babami”, wsiąść do auta i pojechać do Krakowa. W owym czasie nie wiedziałem nawet, że istnieje takie zjawisko jak homoseksualizm i że Paweł jest homoseksualistą. Matka Pawła była znowu w Paryżu (chyba poleciała kupić sobie nową torebkę albo jeszcze jedną sukienkę), a stary poleciał do Finlandii z delegacją. W garażu stał czarny, nowiutki fiat, do którego wsiedliśmy w czwórkę z butelką „Sherry Brandy”. Paweł miał prawo jazdy załatwione przez ojca (ach, takiego ojca jak Paweł to nie miał nikt!), ale nasz pojazd był oznaczony znakami rządowymi i nie każdy milicjant odważał się zatrzymać czarnego fiata. Macające się po kątach towarzystwo mocno się zdziwi stwierdzając, że brakuje im do znalezienia „mordercy” kilku podejrzanych osób.

Do Krakowa zajechaliśmy z boską pomocą późnym wieczorem. Paweł zaparkował pod orbisowskim hotelem, gdzie wszyscy

go znali i uniżenie pytali o „szanownych rodziców”. Coś mruknął, że starzy będą tu za dwie godziny, bo poszli do teatru, i zaprosił nas na kolację. Obsługiwało nas dwóch kelnerów. Bez zmużenia oka podano nam zamówioną przez Pawła lodowatą wyborową, kryniczankę, tatara, gorące bułeczki, sałatki francuskie i włoskie, barszczyki z krokiecikami...

A gdy któryś z nas zawianych młodocianych sięgał leniwie po leżącą na stole paczkę pall malli albo chesterfieldów, tych symboli dobrobytu, kelnerzy zjawiali się znikąd jak duchy, słuszając zapalkami i podając ogień w uniżonej postawie. Paweł wspałałomyślnie zostawił każdemu z nich po 50 złotych napiwku. Nie odmówili.

Zbudziliśmy się po jedenastej i skacowani zeszedliśmy na śniadanie. Usłużny i doświadczony kelner, widząc jak cierpimy z powodu kaca, ze współczuciem radzi nam zaaplikować sobie po „klinie”. Oczywiście przynosi pięć pięćdziesiątek „czystej”, nie zapominając o sobie.

– A do tego soczku z kiszzonej kapusty. Witamina C. Rozumiecie? Co nie?

– Jedziemy do Zakopanego – oznajmia Paweł.

– Ale co z pieniędzmi? – niepokoi się jadący z nami Marian widząc, jakie sumy poszły dotąd na zapłacenie za hotel, za kolację i śniadanie.

– No i jeszcze trzeba będzie na benzynę – dodaje Jurek.

– Co z wami, kurwa? Myślicie, że macie do czynienia z jakimś tam frajerem – śmieje się już lepiej po klinie funkcjonujący Paweł.

Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciąga grubą paczkę pieniędzy. Same „stowy”. To wystarczający argument, żeby czuć się bezpiecznie. Pieniądze dają złudzenie bezpieczeństwa.

– Za to możemy kupić cały zasrany PRL! – rechocze.

Nasza trójka nigdy dotąd nie widziała jeszcze tyle pieniędzy naraz, a ja wiedziałem, że w gabinecie ojca Pawła jest skrytka, w której leży dużo, bardzo dużo takich paczek pieniędzy. Paweł sam mi ją kiedyś w zaufaniu pokazał. Były tam też takie paczki banknotów, których nigdy wcześniej nie widziałem.

– Ze mną nie zginiecie – dodaje nasz półbóg. – Mam jeszcze to – Paweł wymachuje nam przed oczyma kilkoma zielonymi banknotami. – W razie potrzeby zawsze można je opchnąć u cinkciarza.

Waliśmy się po Krupówkach. Pijemy piwo, jemy lody. To takie wspaniałe pozwalać sobie na wszystko... Wszystko sprowadza się do jednego ruchu. Do wyciągania pieniędzy z kieszeni. Ten system wypacza i niszczy wrodzoną sprawiedliwość. Świat dzieli się na tych, którzy mają co wyciągnąć z kieszeni i na tych o pustych kieszeniach. To bardzo poważna lekcja. Wielu nie zdało z niej egzaminu i wielu jeszcze nie zda. To z powodu tego właśnie rozpoznania rodzi się bandytyzm lub „dziadowanie”.

Po wspaniałym obiedzie w hotelu „Giewont” (tu też znaję Pawełka) wynajmujemy dwa pokoje i udajemy się strudzeni na spoczynek. Nareszcie mamy Zachód. „Pieniądze trzeba mieć i fajnie sobie żyć” – stwierdzają chłopcy i zasypiają marząc o tym, jak to będziemy zawsze mieć tyle pieniędzy, żeby móc kupić sobie wszystko, czego tylko dusza zapagnie, podobnie jak Paweł... albo jak w szlagierze, który kilka lat później śpiewał Karel Gott: *„Einmal um die ganze Welt und die Taschen vollen Geld...”*.

Wieczorem schodzimy do „Piekiełka”. Tu również barman wypytuje Pawła o jego ojca:

– Jak tam zdrowko starszego pana? A jak się miewa szanowna mamuśka? Wszyscy zdrowi?

Podaje nam, co tylko chcemy. Nasz wiek nie interesuje go. Wie, że dostanie napiwek. Nie taki jak od przeciętnego gościa.

– Ile razy tu byłeś? – pytam Pawła.

– Od dziecka. Starzy zawsze mnie tu wlekli ze sobą, albo wysyłali z gosposią. To najlepsze miejsce w tym kraju oprócz „Grandu” w Sopocie.

Paweł jest już znudzony tym wszystkim, co dla nas jest tak podniecające.

– Moja matka przyjeżdża się tu pierdolić z tym swoim gachem – dodaje nagle. I po chwili wskazuje palcem na zgrabną kelnerkę. – A tę to „przeleciał” mój stary za „stówkę”, jak byliśmy tu ostatnio na nartach.

Porównuję z tym wszystkim życie moich rodziców (dwóch życiowych, powojennych wraków pouczających mnie, że należy żyć skromnie i uczciwie) z życiem rodziców Pawła i ludzi im podobnych i zaczynam wątpić w te nauki, które wynoszę z domu. Moi koledzy i koleżanki też. Bandytyzm, oszustwo i prostytutka to efekty uboczne systemu opartego na wirtualnej wartości, zwanej pieniądzem. Spoglądając materialistycznie na życie i porównując dobra i przedmioty materialne posiadane przez nas z tymi, którymi dysponują inni, człowiek może łatwo zatracić poczucie własnej wartości, zboczyć z drogi rozwoju i podążyć inną, ciernistą, dłuższą i niebezpieczną, na której jeden ze środków pomocniczych – sam pieniądz – został uznany za główny cel istnienia.

Paweł, nie lubiany w Katowicach, zwany często imbecylem, pstryka palcami, mruga do wchodzących dziewcząt. Zachowuje

się jak iluzjonista. Co sobie pomyśli, to materializuje się na naszych oczach. Pstryk... Nagle obok nas zjawiły się jakieś studentki, jakaś Kasia, jakaś Zosia. Bawimy się, tańczymy. Wina i wódki nie brakuje. Dowcipy. Wszyscy są szczęśliwi.

„Przewodniczący PZPR odwiedza jakiś PGR. Wszystko w najlepszym porządku. Delegaci wchodzą do stołówki, a tu białe obrusy na stołach, świeże kwiaty w kryształowych wazonach, srebrna zastawa, chińska porcelana. A w rogu na białym fortepianie gra jakaś mocno uszminkowana staruszka. Przewodniczący patrzy na nią przez chwilę i zwraca się do kierownika PGR-u: »A to tutaj to co znaczy?« »Ano, towarzyszu pierwszy sekretarzu, jakeście tu przed rokiem w stołówce byli, toście powiedzieli: – Coś tu, kurwa, nie gra. – No to tego roku postanowiliśmy posadzić tu jedną. Niech gra...«”.

Jedna z tych studentek zajęła się mną. Tańczymy razem. Wspaniale nam idzie. Zgraliśmy nasze ruchy już przy pierwszym tańcu. Po godzinie czuję nagle jej dłoń na moim rozporku. Czuję się dumny, że starsza ode mnie dziewczyna traktuje mnie jak prawdziwego mężczyznę, a zarazem jestem mocno zażenowany. I nie rozumiem dlaczego. Moi koledzy nigdy nie czują się zażenowani, a wręcz są nachalni. Ja nie potrafię być nachalny. Chciałem się zmusić do takiego postępowania, wydusić je z siebie, ale nie udało mi się. Wstydzę się takiego postępowania sam przed sobą. Nie potrafiłbym tak, jak to robią niektórzy z moich szkolnych kolegów, na przykład zmuszać dziewczynę, żeby ze mną zatańczyła, albo żeby się ze mną całowała, albo „łapać ją za cipę” wbrew jej woli. Nie potrafię być całkiem taki sam, jak inni. Chyba jestem „zablokowany”. Nie potrafię.

Zostaliśmy sami przy stoliku. Inni tańczą na parkiecie. Moja nowa znajoma wyraźnie „napaliła się na mnie”. Po raz pierwszy w życiu czuję czyjś język w moim uchu. Coś takiego! Zupełnie tak, jak bawiły się szczenięta, które widziałem raz u górala w Krynicy. Jeden drugiemu wylizywał ucho. Mokro. I jak łaskocze!

– Co cię tak śmieszy? – pyta mnie dziewczyna.
– Strasznie łaskocze – odpowiadam zgodnie z prawdą.
– Ale z ciebie dzieciak – mruczy i... dalej się całujemy. Znów coś nowego! Czuję, jak jej niezwykle długi język oblizuje mój język, prawie sięga mi do gardła. Mój mózg przetwarza zawarte w nim informacje oraz te świeżo nabyte. No, ja bym się nie odważył wkładać komuś do ucha języka, a potem jeszcze do ust!!! To jest wybitnie niehigieniczne! Wkładać język w takie siedliska bakterii...?! Na wszelki wypadek płuczę niepostrzeżenie wódką jamę ustną, zatrzymując w ustach alkohol, zanim go przełknę. Nie rozumiem, dlaczego ludzie robią takie dziwne rzeczy. Do głowy by mi nie przyszło!

Napełniliśmy bak benzyną i wróciliśmy do Katowic. Okazało się, że ojciec Pawła wrócił już z Finlandii i postawił całą milicję na nogi. „Stary strasznie się rozeźlił” – donosi mi Paweł przez telefon. Spotykamy się w czwórkę w „Cafe Espresso” i chłopaki dochodzą do wniosku, że ponieważ ich zdaniem mam „dobrą gadkę”, powinienem w ich imieniu pójść do ojca Pawła i przeprosić go, aby załagodzić sprawę.

„Dobrze powiedziane: »Załagodzić sprawę...«. Nie mogę się dogadać z moimi starymi, a mam iść do starego Pawła” – myślę sobie. Poszedłem. Przeprosiłem. Zapewniłem, iż rozumiem, że

postąpiliśmy bezmyślnie. Obiecałem, że się to już nigdy nie powtórzy. Udało się. A o pieniądzach nawet nie wspomniał. Chyba mu na nich nie zależało.

Znów spotykamy się w „Espresso”. Relacjonuję chłopakom moją rozmowę. Możemy być szczęśliwi, że rozeźlony partyjniak nie podniósł słuchawki swojego telefonu i że nie wylano nas ze szkoły.

– Zamiast stać w Jedności Froncie, niech se w kącie wali pracę – kwituje Paweł moją relację i proponuje zakład. Kto z nas gotowy jest rozebrać się do naga przed Teatrem im. Wyspiańskiego i zaczekać, aż przyjedzie glina i go zwinie? Oczywiście wygrał Paweł. Z komisariatu przy ulicy Pocztowej odebrał go czarną tatrą kierowca jego ojca. Wiadomość o tym wydarzeniu nie ukazała się ani w „Dzienniku Zachodnim”, ani w „Wieczorze”, ani w „Panoramie”. A dwa tygodnie potem tata Pawełka zabrał go ze sobą do Berlina.

– Ten imbecyl to ma życie – mówiono.

Miałem wtedy 16 lat. Przyszedłem do Jurka, kolegi z klasy, którego ojciec był kimś ważnym w partii, a dodatkowo prowadził jakieś „kokosowe” – jak się w owych dniach mówiło – interesy. Otworzyła mi matka Jureczka we własnej osobie. Gospościa miała właśnie wolne, Jurek zaś pojechał z ojcem po coś tam na wieś do rodziny i prosił, żebym na niego zaczekał. Zgrabna, odziana tylko w powiewny szlafrok mama kolegi spytała mnie, czy wolę napić się wódki czy szampana. Zauważyłem, że była już lekko podchmielona. Poczulem od niej coś, co wprawiło mnie w niesamowite zakłopotanie. To przecież matka Jureczka.

– Jak Jurek wróci, to niech do mnie zadzwoni – powiedziałem zamierzając jak najszybciej uwolnić się od obecności tej tak blisko

mej twarzy oddychającej kobiety. Ale ona uśmiechnęła się tylko i rozsuwając na boki szlafrok, spytała:

– Nie podobam ci się?

Byłem zażenowany, a jej o to chyba chodziło. Pobierała w ten sposób ze mnie energię. Nie byłem jednak wtedy tego świadom.

– Podoba mi się – wydusiłem z siebie zmieszany, chcąc nie chcąc patrząc na jej piersi (którymi chyba karmiła) i fryzurkę tam, gdzie schodziły się jej uda. To była rzeczywiście fryzurka.

– No, wejdz dalej – zrobiła zapraszający ruch dłonią, w której trzymała szampankę. – Nie jesteś jeszcze mężczyzną?

Umiała zadawać pytania. Co za konsternacja!

– Mąż i Jureczek wrócą za dwie, może trzy godziny. Nie bój się. Nie ugryzę cię – mruzczała rozbawiona i coraz bardziej podniecona. – Jeszcze nie.

Napełniła kielichy szampanem i usiadła mi z nimi na kolanach:

– Francuski. Kupiłam kilka butelek w Paryżu.

Wypiłem duszkiem. Odstawiła obie szampanki na stoliczek stojący obok kozetki, na której siedzieliśmy, ujęła moją dłoń i włożyła mi w nią swoją pierś.

– Przyjemnie ci? – mruzczała.

Co można odpowiedzieć na takie pytania, szczególnie gdy ma się 16 lat? Zaczęła też wiercić się na moich kolanach w taki sposób, że przestałem kontrolować własne reakcje. Bardzo chciałem tego uniknąć, ale mi się nie udało. Członek pęczniał z każdą chwilą i stawał się coraz twardszy, a na dodatek zdawałem sobie sprawę z faktu, że moja intymna tajemnica jest i przez nią zauważona i odczuwalna.

– Jaki piękny semicki nosek tutaj mamy...

Pocałowała mnie w taki sposób, jaki był mi do tej pory obcy, zaś jako syn lekarza musiałem taką czynność zaliczyć do niehigienicznych. I ten zapach. Dziś wiem, że to zapach tendencyjnej

„Chanel 5”. Myśl, że to matka szkolnego kolegi, wprost paraliżowała mnie. Sparaliżowany też całkowicie był mój członek, którego wyjęła, ściągając ze mnie spodnie wraz z kalesonami. Zajmując się nim przez dłuższą chwilę jak przedmiotem kultu, odwróciła w moim kierunku przepelnioną wyrazem satysfakcji twarz i zamruczała tym swoim głębokim altem:

– Obrzezanego jeszcze nie miałam.

Usiadła w rozkroku na mnie i moja tajemnica zniknęła gładko w mokrej i gorącej szczelinie jej ciała. To wszystko różniło się całkowicie od wszystkiego, co do tej pory przeżyłem podczas różnych prywatek. To nie była czternastolatka podniecona tym, że chłopiec głaszcząc jej piersi albo tym, że włożył rękę w jej majtki i palcem dotyka łechtaczki. To, co mnie tu spotkało, to kobieta w akcji.

Znów wakacje. Skończyłem dziewiątą klasę. Razem z Marianem, kolegą z klasy, postanowiliśmy uciec z domu i pojechać nad morze. Wiele się na tę decyzję złożyło. Ojciec wywierał na mnie zbyt wielką (z mojego punktu widzenia) presję, obawiając się, że z niskimi ocenami mogę mieć kłopoty z przyjęciem do liceum. Ja zaś twierdziłem, że „człowiek ma prawo uczyć się tego, co go interesuje, a nie wszystkiego, co mu wciskają”. Z miesiąca na miesiąc gromadziła się negatywna energia, narastał konflikt, aż moja burzliwa natura nakazała mi uniezależnić się od pieniędzy, którymi ojciec (w dobrej przecież według niego wierze) manipulował mną, starając się, żebym wyrósł na „człowieka”, tak jakbym na razie nie był jeszcze człowiekiem.

Matka Mariana pochodziła z małej wsi w Kieleckim i była nauczycielką w naszej podstawówce. Jego ojciec to też „wsiok”,

ale teraz był gdzieś „ważną szyczą”, bo należał do partii i został dyrektorem czegoś tam w górnictwie. Już tylko z tych względów zarabiał nieźle, a do tego przeprowadzał jakieś transakcje dolarowe, w owych czasach uznane oficjalnie za nielegalne, które uczyły z nich na tyle bogatą rodzinę, że – mieszkając tam, gdzie przebywali od zakończenia wojny – musieli stale kryć się ze swoim bogactwem. To wszystko wiedziałem od Mariana. Zawsze miał on przy sobie dużo pieniędzy, które sobie po prostu brał z szafy i nikt nawet nie zauważał braku kilkuset złotych.

Ta kobieta nienawidziła mnie otwarcie jako matka Mariana, jako nauczycielka i jako kobieta. Zabroniła mi „kolegować się” ze mną, a on powiedział mi, że w domu nazywała mnie „żydowskim bękartem”. Reagowała wprost alergicznie na zadawane przeze mnie podczas lekcji pytania (np. skoro arystokracja w dawnych czasach ograbiała chłopstwo ze wszystkiego, to dlaczego na tym obrazie z tamtej właśnie epoki chłopci nie są wcale chudzi, mają czerwone tłuste twarze, a kobiety takie duże cycki?) i denerwowała się, gdy zaproponowałem jej kiedyś, żeby przyszła do mojego taty na badania, bo ma takie grube nogi. Marian miał jej już serdecznie dość, a szczególnie tego, że zmuszała go, żeby chodził do kościoła, miejsca z niechęcią odwiedzanego przez wszystkich moich kolegów i większość koleżanek. W każdą niedzielę rano, od lat, zbierało się u mnie w domu kilkanaścioro dzieci, które zostały zmuszone przez rodziców, by iść do kościoła.

Dołączył do nas Jurek, postanawiając odpocząć od swego starego, który miał coś przeciwko Marianowi. Podobnie zresztą mój ojciec nie życzył sobie, żebym zadawał się z Jurkiem i Marianem, którzy rzekomo wywierali na mnie „zły wpływ”. Aby zmylić pogoń, zwierzyliśmy się młodszemu bratu Mariana, że uciekamy

do Zakopanego, prosząc go, żeby nikomu o tym nie powiedział, a szczególnie matce. Wiedzieliśmy, że gówniarz nas zdradzi, chociażby z zemsty za to, że nie bierzemy go ze sobą.

Jakoś dotarliśmy do Mielna Koszalińskiego. Może dlatego, że Jurek miał tam kuzynkę, „siódmą wodę po kisielu”, a może to ŻYCIE mną nieświadomym kierowało...?

Filigranowa Bożenka, milutka, zgrabniutka, o czarnych oczkach i kruczoczarnych włosach jest wspaniale ubrana i ma najnowsze nagrania Beatlesów, które dostała od wujka z zagranicy. Po przesłuchaniu kilku czarnych krążków Bożenka wykonuje dwa telefony i wyczarowuje wygodny namiot oraz dwie poduszki i trzy koce. Wskazuje nam też ustronne miejsce, gdzie możemy rozbić obozowisko. Od niej też dowiadujemy się, że do Mielna zawitała właśnie ekipa filmowa i kręcić będą film „Zakochani są wśród nas”. Potrzebni im są statyści, a my prezentujemy się znakomicie. Z długimi włosami, w garniturkach, w koszulach z żabotami i beatlesówkach na nogach prezentujemy się jak „wymarzeni statyści”.

W nocy śpimy w garniturkach na baczność, żeby się zbytnio nie wymięły, a rano pierwsi meldujemy się na planie. Nikogo jeszcze nie ma. Wypyтуujemy o wszystko.

– Coście, chłopcy, powariowali? – slyszymy. – Do dwunastej i tak nie będzie z kim rozmawiać. Wszechmocny kac. Zresztą nie wiadomo jeszcze, czy dziś będziemy kręcić na słonecznie czy na pochmurno...

Przyjęto nas. Na razie mamy rozglądać się po Mielnie za „fajnymi babkami” i „zagonić przed oblicze szefa”. Mamy za to dniów-

kę. Potem będziemy potrzebni na plaży, będziemy kupować lody w oddali, podrywać dziewczyny, tańczyć w lokalu, płynąć na żaglówce. Nareszcie! Wolność! Morze! Plaża! Kręcimy film! Angażujemy statystki! Tylko się człowiek wyrwał z domu i już życie inaczej wygląda. Jako „filmowcy” mamy wolny wstęp na dancing. Z całą pewnością wypilem za dużo wina. Jestem pijany. Tańczę podwójne elipsy z Bożenką, ale po raz pierwszy w życiu czuję, że robi mi się słabo. Przepraszam. Muszę wyjść. Zimny pot mnie oblewa. „Trzymaj się, Roman!” – mówię sobie. Nie dam się. Staram się iść prosto. Bożenka trzyma mnie za rękę i ciągnie za sobą. Wychodzimy z zadymionego hałasu na plażę. Po chwili czuję się już lepiej. Jestem zły na siebie, że doprowadziłem się do takiego stanu. To już drugi raz. Cały świat pije alkohol w różnych postaciach. Wszyscy wokół mnie, no, prawie wszyscy, z takimi wyjątkami jak moi rodzice i kilku pacjentów ojca. Reszta – sąsiedzi, koledzy, koleżanki, ich rodzice, większość „ciała pedagogicznego” pije mniej lub więcej. Więc i ja piję. Ale po dwóch kieliszkach wina albo wódki, której smaku i zapachu nie znoszę, mam już dość. A oni nie mają dość. Nie wiem, jak oni to robią, ale mogą wypić o wiele więcej ode mnie. I nigdy nie mają dość!

Leżę na chłodnym piasku na wznak. Coś mnie łaskocze w okolicy „ptaka”. To Bożenka rozpina mi rozporek. Otwieram oczy. Nade mną gwiazdy. Słyszę szum morza. Z oddali słyszę refren granej w lokalu piosenki: *She loves you, ye, ye, ye...*

– Nie obrazisz się, że cię o coś zapytam? – szepcze drżącym głosem Bożenka i swoją małą rączką stara się obsunąć mi w dół slipy.

Jestem zażenowany. Pijany. Zaskoczony. Udaję jednak spokojnego. Nie, nie obrażę się. O co chodzi?

– Czy to prawda, że jesteś Żydem?
– Tak. Skąd wiesz?
– Moja mama mówi, że od razu się domyśliła, bo masz taki „okrągły” nos.

Udaje jej się wyciągnąć powiększający się wbrew mojej woli członek na wolne powietrze.

– Ja chcę tylko zobaczyć, czy to prawda...
– Co?!
– Bo słyszałam, jak mama mówiła cioci, że Żydzi mają innego.

Przez chwilę ogląda mi „końcówkę” i... całuje. Nagle zrywa się na nogi. Kilka błyskawicznych ruchów i ściąga spódniczkę i majtki. Pomiędzy jej nogami widzę mały czarny trójkącik. Kładzie się na mnie. Czuję, że chce, żeby mój członek dotykał tego właśnie owłosionego czarnego trójkącika. Ciągnie mnie na siebie. Czuję w dłoni coś miłego, okrągłego. Odpycha mnie. Zadziera do góry bluzkę. Kładzie moją dłoń z powrotem na swoim filigranowym piersiątku. Czuję, jak jego wierzchołek rośnie i twardnieje mi pod dłonią. Leżę cały na niej. Wpycha rękę pomiędzy nasze ciała i wkłada sobie koniuszek mojego „ptaka” do swojego otworu.

– Och, och, nie ruszaj się, proszę, nie ruszaj się.

Jest w niej gorąco i mokro. Ale chyba się nie zsiusiała...? Trzęsie się. Drży. Mocno drży. Ciągnie mnie za włosy. Liże po twarzy. Coś takiego?! Sapie. Jeszcze czegoś takiego nie widziałem.

– Och, och!

Odsuwa mnie na bok i wkłada moją dłoń między swoje uda. Mokro. Ślisko. Widocznie z niej też się coś wylało. Palcem wskazującym mojej prawej dłoni pociera sobie wciąż to samo miejsce. Jest to coś małego, jakby chrząstka. Przed oczyma ukazują mi się widziane w książkach medycznych ojca fotografie żeńskich organów płciowych. Nagle Bożenka zaskomlała, ścisnęła mocno, bardzo

mocno moją dłoń swoimi filigranowymi udkami, znieruchomiła na chwilę, po czym znów wciągnęła mnie na siebie obłapiając ramionami i nogami. Mój „ptak” znalazł się w jej gniazdku bez niczyjej pomocy. Coś z niej takiego przenikało we mnie, że nie mogłem przez chwilę myśleć. Przez jakiś czas wszystko wokół nas przestało jakby istnieć, jakby nigdy nie istniało. Nawet szum morza chyba ustał. Po prostu czułem, że jestem, że jest mi bardzo dobrze, że jakimś cudem staliśmy się jednym z tą małą Bożenką, że to ona coś ze mną zrobiła, że teraz jest tak, jak jest.

I nie wiem, jak długo leżeliśmy tak objęci, ona zaś – gdy chciałem się poruszyć – zaciskała mi ramiona na szyi, a nogi na pośladkach i mruczała jak kot, naprawdę jak kot:

– Nie, jeszcze nie, nie ruszaj się, jeszcze nie.

Więc nie ruszałem się, bo w rzeczy samej miała rację. Było fantastycznie. I czułem się wspaniale. To, co tu się rozegrało, było czymś totalnie innym od tego, co do tej pory przeżyłem na prywatkach. Tamto było jakimś macaniem się nawzajem. Taki rodzaj sportu. Żeby żyć tak, jak żyje młodzież w Szwecji. Wolna miłość. Na złość dorosłym, którym tak bardzo zależy, żeby temu zapobiec. Bunt przeciwko partii rządzącej. Robić właśnie to wszystko, czego nie wolno, co zakazane. Tu, na tej plaży jednak odkryłem nowy wymiar stanu świadomości.

Odprowadziłem ją do domu. Było już późno. Szliśmy ulicami Mielna objęci, zupełnie tak, jak to widziałem na włoskich filmach. Byłem mężczyzną i miałem swoją dziewczynę. A ona potrafiła zrobić ze mną coś takiego, że na chwilę przestawałem myśleć. Nie do wiary!

– Ile masz lat? – zapytałem.

– Piętnaście – odpowiedziała. – Jesteś taki fajny. Kocham ciebie, Roman. Ciekawe, jak by wyglądało nasze dziecko?

– ?!

Dwa dni później z ciężkim sercem opuszczałem tę miejscowość, a raczej jedną z jej mieszkańek. Nie dałem jednak niczego po sobie poznać, żeby chłopcy nie pomyśleli przypadkiem, że się zakochałem. Pojechaliśmy do Kielc, a stamtąd na wieś, gdzie mieszkała cała rodzina matki Mariana. I to był nasz błąd. Po dwóch dniach pobytu okazało się, że jego stara nie była taka głupia, no i wysłała telegram do swojego brata na wieś z zawiadomieniem, że Marian uciekł z domu. Brat poszedł na pocztę, zamówił rozmowę telefoniczną i pocieszył ją, że „Moniek” jest cały i zdrowy, i że przyjechał na wieś z dwoma kolegami. Fajni chłopcy – dwie flaszki wyborowej dla wujka przywieźli.

Matka Mariana poinformowała moich rodziców o swoich planach: albo postarają się nakłonić mnie do „zostawienia jej syna w spokoju”, albo znajdzie sposób, żeby mnie stamtąd wykurzono. Widocznie zostawiła mojej matce adres pocztowy swojego brata, bo ciotka Mariana przyniosła mi telegram z domu, w którym mama wyraźnie błaga mnie, żebym jak najszybciej opuścił „tamto miejsce”. Telefonuję do domu. Okazuje się, że krótko po wojnie w Kielcach urządzono pogrom tamtejszych Żydów. Nie bardzo wiem, co to jest pogrom, ale czuję, że matka jest przerażona. Zapewniam ją, że „nie boję się nikogo i przed nikim nie będę uciekać”. Matka jest zrozpaczona. Prosi mnie, żebym natychmiast wracał do domu. Obiecuję, że wrócę, ale niech powie ojcu, że jestem już dorosły i nie pozwolę się tyranizować. Chcę sam decydować o swoim życiu.

Idę porozmawiać z Marianem.

– Nic się nie martw, Romek. Te chamy nic ci nie zrobią.

Przed miejscową knajpą stoi wujek Mariana i kilku podchmielonych chłopów. Podchodzimy. Wujek spogląda na mnie jakoś inaczej niż do tej pory, bierze Mariana na bok i coś mu szepcze na ucho. Chłopi łypią na mnie raczej nieprzyjaźnie. Czuję to. Czyżby moja matka miała rację? Coś się tu kroi. Wyczuwam to. Coś złego.

– Odpierdol się od niego, wujek! – słyszę podniesiony głos Mariana. – To jest mój kolega.

Po godzinie jedziemy już z wiejskim lekarzem jego trabantem do Kielc.

– Moja noga tu więcej nie stanie! Chamstwo zbuntowane – postanawia sobie kolega.

Było to na początku sierpnia 1964 roku. Jestem lekko podпиты. Tak wypada. Odprowadzająca mnie na katowicką stację kolejową „rasa”, czyli moje koleżanki i koledzy, też są lekko na „gazie”. Tak wypada. To styl życia. Obiecuję im po raz kolejny, że wrócę tu kiedyś znowu. Mam być bogaty. Mam przywieźć ze sobą białego cadillaca, kabriolet oczywiście, z czerwonymi siedzeniami. Będziemy pędzić po mieście tak, jak to widzieliśmy na filmach z Zachodu. My też mamy prawo do wolności. Ja jestem właśnie w pewnym sensie spełnieniem tych marzeń. Wyjeżdżam na Zachód! Na Zachód! Już za kilkanaście godzin będę na dworcu w Wiedniu! W Austrii! Za mną pozostanie komunistyczna Polska, więzienie, ZSRR. Przede mną raj. Najpierw Austria, a potem Izrael. Izrael!!! Palmy, upał, morze, samochody z otwartymi dachami, eleganckie

hotele z basenami. Jak w Saint-Tropez albo na filmach amerykańskich pokazujących kalifornijskie wybrzeże albo Miami Beach!

Żegnamy się tak już od kilku dni. Jesteśmy zżyci jak bracia i siostry. Tyle prywatek przeżyliśmy razem. Przynieśli ze sobą szampana. Pijemy z butelki. Jeden po drugim. Przyniekamy sobie nawzajem, że spotkamy się znowu za pięć lat. Taki okres wydaje się nam niesamowicie długi. „Za pięć lat”. „Nie zapomnij mnie!”. „Pamiętaj o mnie!” „Przysyłaj choćby pocztówki”. „Pisz przynajmniej raz w miesiącu! Pamiętaj!”.

– Będę pamiętał.

Wskakuję do jadącego już pociągu. Pewien rozdział w moim życiu został zamknięty. Otwiera się nowy. Nie jestem tego świadom. Stoję na stopniach rozpędzającego się pociągu i wjeżdżam w swoją przyszłość. Znika peron z machającymi na pożegnanie koleżankami i kolegami. Zatrząskuję za sobą drzwi wagonu. Nie jestem też świadom, że każde drzwi to wejście w jakiś wymiar Nieskończoności. Siadam i otwieram butelkę piwa. Ojciec jest zły. Nie aprobuję mojego stylu życia. Nie aprobuję pozostawionych właśnie na katowickim peronie kolegów. Od kilku lat nie żyjemy w zgodzie. On chce, żebym został lekarzem. Tak jak on. A ja chciałbym grać na saksofonie. Różnica stanów świadomości doprowadza nas do walki. On walczy ze mną „o moją przyszłość, żebym nie został tragarzem”. Ma swoje doświadczenie życiowe. „Człowiek bez dyplomu nie jest człowiekiem”. Mój ojciec wierzy, że udało mu się przeżyć wojnę tylko dzięki temu, że miał dyplom w kieszeni. Dlatego chce, żebym ja też studiował i „stał się człowiekiem”. Ja mam narowistą duszę reformatora, rewolucjonisty. Próby jego przymusu wywołują we mnie niesamowity upór, sprzeciw przeradzający się w agresję. Nie mogę zrozumieć, dlaczego

inni lekarze, jego znajomi i koledzy robią różne interesy. Skrobanki, handel dolarami, złotem, lekarstwami. Mają elegancko urządzone mieszkania. Synowie i córki dostają od nich pieniądze, zagraniczne ciuchy. Są zabierani na wycieczki zagraniczne. Nad Balaton, do Złotych Piasków w Bułgarii. Ja nie. Mój ojciec „chce spać spokojnie”. „Jestem lekarzem, nie handlarzem”. Jego pojmowanie uczciwości, lojalności wobec prawa, które mu nie służy, unikanie konfliktu z władzą, polityka „nienarażania się”, „zgodzania się z życiem” jest dla mnie nie do przyjęcia. Jak inni mogą się narażać, żeby coś mieć, to dlaczego on się tak boi? Ja się nie boję nikogo i niczego. Jestem gotowy zginąć w walce o swoje. A co? Czy nie zdjąłem ze ściany w klasie portretu Lenina i nie powiesiłem fotografii Elvisy? I nie bałem się. A mój ojciec umierał ze strachu, że przyjdą i zamkną go za to, że nie potrafi „dobrze” wychować swego syna. Co to znaczy „dobrze”? Mam być posłuszny tak jak on. Przepychać się przez życie. Nigdy! Nigdy też nie mogłem zrozumieć scen pokazywanych nam w szkole podczas projekcji filmów dokumentalnych z czasów okupacji hitlerowskiej. Kilku hitlerowców prowadzi kilkudziesięciu mężczyzn na śmierć lub do jakichś ciężkich robót. I oni idą. Obojętni, sparaliżowani strachem. Idą... Będą o głódzie harować latami dla okupanta, pozwolą pokornie postawić się pod ścianą i rozstrzelać, będą śmierdzieć nie umyjni, będą szczać w spodnie i nie zbuntują się. Te sceny wywoływały we mnie zawsze zdziwienie i agresję. Ja to bym w takiej sytuacji... W mojej wybujałej młodzieńczej wyobraźni powstawały obrazy, w których widziałem siebie rzucającego się z gołymi rękoma na uzbrojonych ciemieżców, kopalem ich, gryzłem, wyrwałem im broń i starając się zabić jak najwięcej z nich, sam ginąłem bohatersko na oczach tych otępiejących ze strachu ludzi, którzy będą teraz pamiętali, że był taki jeden, który się nie poddał. I dał przykład, że lepiej dać się zabić, niż z pokorą

pozwolić innym na ograbianie drugiego z wolności. Nie ze mną te numery! Dla mnie w owym czasie prawdziwymi bohaterami byli bohaterowie licznych filmów radzieckich. Nie. Nie dlatego, że sympatyzowałem z Krajem Rad... Podobał mi się często pokazywany w tych filmach typ umierającego zwycięzcy. Był to przeważnie żołnierz lub partyzant, który leżąc z rozprutym kulami wroga brzuchem, jedną ręką przytrzymywał sobie wypływające z niego wnętrzności, a drugą nadal trzymał w górze swój sztandar. Do ostatniego tchu. Uległość mojego ojca, życie „z uczciwej pracy” podczas gdy władza żyła w willach i dobrobycie, trzymanie się ideałów takich jak: „jestem oficerem Wojska Polskiego”, „jestem człowiekiem nauki” itp. wydawały mi się nie do przyjęcia, niepraktyczne i nierealne. Nie rozumiałem go. Nie mogłem go zrozumieć w ówczesnym stanie świadomości. Czuję właściwie, ale nie potrafiłem wybalansować tej energii, nadać jej kierunku. Byłem żywołem i miałem ziemskich 18 lat.

Wychodzę przed dworzec wiedeński. Jestem na ZACHODZIE. „Jak im nie żal używać mercedesów jako taksówek?!” – to była moja pierwsza myśl na Zachodzie.

Zabrano nas do Korneuburga pod Wiedniem. To obóz przejściowy dla repatriantów żydowskiego pochodzenia z Polski, Czechosłowacji, z Węgier. W nocy, po całym dniu prowadzenia rozmów w języku niemieckim, moja matka budzi się kilkakrotnie, krzycząc z przerażenia. Dręczą ją koszmary. Język niemiecki przywołał drzemiące, wyparte w podświadomość, traumatyczne przeżycia z czasów II wojny światowej. Marzyła o tym, żeby studiować medycynę. Chciała zostać pediatrą, leczyć chore dzieci. Maciusia, jej siedmioletniego braciszka, jakiś hitlerowski gorliwiec wypchnął z okna, z drugiego piętra na bruk. Na jej oczach. Całą rodzinę

zawleczono pod ścianę i rozstrzelano. Moja matka zawsze mówiła, że wierzy w przeznaczenie. Zemdląca. Doszła do siebie po pewnym czasie i wygrzebała się spod trupów swojej rodziny. Miała wtedy chyba 20 lat. Tej nocy posiwała.

